świat literacki 033 biblioteka

Marguerite
Duras

pisać

przekład
Magdalena Pluta

świat literacki
IZABELIN

PISAĆ

Człowiek jest samotny w domu. Nie poza nim, tylko wewnątrz niego. W parku są ptaki, koty. A raz i wiewiórka, fretka. Człowiek nie jest samotny w parku. Za to w domu jesteśmy tak bardzo samotni, że czasem aż zagubieni. Teraz dopiero widzę, że siedziałam w domu przez dziesięć lat. Samotna. Po to, żeby pisać książki, które uświadomiły tak mnie, jak i innym, że jestem takim, a nie innym pisarzem. Jak to się stało? I jak to wyrazić? Mogę tylko powiedzieć, że ten rodzaj samotności, jaki panuje w Neauphle, stworzyłam sama. Dla siebie. I że tylko w tym domu jestem sama. Żeby pisać. Żeby pisać inaczej niż do tej pory. Pisać książki, których jeszcze nie znam, których nigdy jeszcze nie zamierzyłam i których nie zamierzył jeszcze nikt inny. Tutaj napisałam *Lol V. Stein* i *Wicekonsula*. A później inne. Zrozumiałam, że jestem osobą samotną ze swoim pisaniem, samotną z dala od wszystkiego. Trwało to może dziesięć lat, już nie pamiętam, rzadko kiedy mierzyłam czas spędzony na pisaniu, czy też czas w ogóle. Mierzyłam czas wypełniony oczekiwaniem na Roberta Antelme'a i Marię-Luizę, jego młodszą siostrę. Potem w ogóle przestałam to robić.

Lol V. Stein i *Wicekonsula* napisałam na górze, w moim pokoju, tym z niebieskimi szafami, które teraz niestety poniszczyli młodzi murarze. Czasami pisałam także tutaj, przy tym stole w salonie.

Tę samotność pierwszych książek zachowałam. Zabrałam ją ze sobą. Moje pisanie zawsze zabierałam ze sobą, dokądkolwiek bym nie zdążała. Do Paryża. Do Trouville. Albo do Nowego Jorku. Właśnie w Trouville przekreśliłam szaleństwem przyszłość Loli Valerie Stein. Także w Trouville nazwisko Yann Andrea Steiner objawiło mi się z niezapomnianą oczywistością. Przed rokiem.

Bez tej samotności pisania tekst nie powstaje w ogóle albo ulega rozkruszeniu, wycieńczony poszukiwaniem, co by tu jeszcze napisać. Blednie, traci uznanie autora. A już w żadnym razie nie wolno dyktować go jakiejkolwiek sekretarce, choćby nie wiem jak zręcznej, ani dawać, w tym stadium, do czytania wydawcy.

Osoba pisząca książki musi pozostawać w stałej izolacji od innych ludzi. To najważniejszy wymiar samotności. Samotność tekstu – samotność autora. Na początek człowiek się zastanawia, czym była ta cisza dookoła. Obecna właściwie przy każdym naszym kroku po domu, o każdej porze, niezależnie od

rodzaju światła, czy to przy świetle naturalnym, czy przy sztucznym. Ta namacalna samotność ciała staje się niewzruszoną samotnością tekstu. Z nikim o tym nie rozmawiałam. Już wtedy, w okresie mojej pierwszej samotności odkryłam, że muszę zająć się pisaniem. Już dawniej potwierdził to Raymond Queneau. Jedyna opinia Raymonda Queneau, to zdanie: „Niech pani nie robi nic innego, niech pani pisze".

Pisać – jedynie to zaludniało moje życie i przydawało mu uroku. Podjęłam się tego. Pisanie nigdy mnie nie opuściło.

Mój pokój to nie żadne łóżko, ani tutaj, ani w Paryżu, ani w Trouville. Mój pokój to pewne okno, pewien stół, przyzwyczajenie do czarnego atramentu, ślady czarnych kleksów już nie do odszukania, krzesło. I pewne nawyki, które odnajduję zawsze, dokąd bym nie zdążała, gdzie bym nie była, także w tych miejscach, w których nie piszę, jak na przykład w pokojach hotelowych, nawyk trzymania whisky w walizce na wypadek bezsenności albo nagłej rozpaczy. W tamtym okresie miałam niejednego kochanka. Rzadko kiedy nie byłam z kimś związana. Brali się z samotności Neauphle. Z uroku tego miejsca, który czasami im z kolei pozwalał napisać własne książki. Rzadko dawałam tym kochankom swoje książki do czytania. Kobiety nie powinny umożli-

wiać kochankom czytania pisanych przez siebie książek. Kiedy kończyłam rozdział, taiłam to przed nimi. Jest to tak naturalne, jeżeli o mnie chodzi, że zastanawiam się, jak to się robi gdzie indziej albo jak można poradzić sobie z tym inaczej, w sytuacji kiedy jest się kobietą i ma się męża albo kochanka. W takim przypadku trzeba także ukrywać przed kochankami miłość do męża. Mojej nic i nigdy nie zastąpiło. Codziennie się z tym budzę.

Ten dom jest miejscem samotności, chociaż okna wychodzą przecież na ulicę, na plac, na stary staw, na grupę uczniów z miasteczka. Kiedy staw zamarznie, dzieci przychodzą ślizgać się na łyżwach i przeszkadzają mi pracować. Ja im na to pozwalam. Czuwam nad nimi. Wszystkie kobiety, które miały dzieci, czuwają nad tamtymi na ślizgawce, nieposłusznymi, szalonymi, jak wszystkie dzieci. Ale jaki to strach, za każdym razem, ten najgorszy. I jaka miłość.

Samotności się nie znajduje, ją się tworzy. Właściwie samotność tworzy się sama. Ja ją stworzyłam. Ponieważ podjęłam decyzję, że właśnie tu powinnam być samotna, że będę samotna, żeby pisać książki. To było tak. Byłam w tym domu sama. Zamknęłam się w nim – oczywiście, też się tego bałam. Ale potem go polubiłam. Ten dom stał się domem pisania. Moje książki wychodzą z tego domu. Także z tego światła, z parku. Z tego światła, które odbija się w stawie. Potrzeba mi było dwudziestu lat, żeby napisać to, co przed chwilą powiedziałam.

Ten dom można cały przemierzyć wzdłuż. Tak. Można też wchodzić i wychodzić. Poza tym jest park. A w nim drzewa tysiącletnie i drzewa jeszcze młode. I są modrzewie, jabłonie, orzech, grusze, czereśnia. Morela uschła. Przed moim pokojem rośnie ta słynna róża z *Człowieka atlantyckiego*. Wierzba. Poza tym wiśnie japońskie, irysy. A pod oknem salonu muzycznego jest kamelia, którą zasadził dla mnie Dionys Mascolo.

Najpierw ten dom umeblowałam, a później go odnowiłam. No i po jakichś dwóch latach rozpoczęliśmy wspólne życie. Skończyłam tu *Lol V. Stein*, zakończenie pisałam tutaj i w Trouville, nad morzem. Sama, nie, nie byłam sama, w tamtym okresie był ze mną mężczyzna. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Ponieważ pisałam, trzeba było unikać mówienia o książkach. Mężczyźni tego nie znoszą: kobiety, która pisze. To dla mężczyzny okrutne. To trudne dla wszystkich. Z wyjątkiem Roberta A.

Tymczasem w Trouville była plaża, morze, ogromy nieba, piasku. A tutaj właśnie to, samotność. Właśnie w Trouville patrzyłam na morze aż do za-

tracenia. Trouville to samotność całego mojego życia. Ta niezwyciężona samotność wciąż mnie jeszcze spowija. Czasami zamykam drzwi, wyłączam telefon, milknę, niczego więcej nie chcę.

Mogę mówić, co chcę, ale nigdy nie odkryję, dlaczego człowiek pisze i jak można nie pisać.

Zdarza się, że kiedy jestem tu, w Neauphle, sama, przypominam sobie pewne przedmioty, na przykład kaloryfer. Pamiętam, że nad kaloryferem była duża półka i że często siedziałam na tej półce, żeby patrzeć na przejeżdżające samochody.

Tutaj, kiedy jestem sama, nie siadam do pianina. Gram nieźle, ale bardzo mało, bo sądzę, że nie mogę grać, kiedy jestem sama, kiedy oprócz mnie w domu nie ma nikogo. To jest bardzo trudne do zniesienia. Gdyż nagle nabiera sensu. A w niektórych indywidualnych przypadkach sens ma jedynie pisanie. Ponieważ opanowałam to – tym się zajmuję. Natomiast pianino jest przedmiotem dalekim, wciąż niedostępnym, jeśli o mnie chodzi – na zawsze. Sądzę, że gdybym dawniej grała na pianinie zawodowo, nie pisałabym książek. Ale nie jestem tego pewna. Myślę nawet, że to nieprawda. Myślę, że pisałabym książki w każdym przypadku, nawet gdybym równolegle zajmowała się muzyką. Książki nieczytelne, ale pełne. Równie dalekie wszelkiemu słowu, jak to, co nieznane – miłości bez przedmiotu. Jak w przypadku Chrystusa albo J. S. Bacha – obu zawrotnej równorzędności.

Samotność znaczy także: albo śmierć, albo książka. Ale przede wszystkim znaczy „alkohol". Whisky. Nigdy dotąd nie mogłam, ale to nigdy, naprawdę, chyba że... musiałabym bardzo daleko szukać... nigdy nie mogłam rozpocząć książki, nie kończąc jej. Nigdy nie stworzyłam książki, która nie byłaby sama w sobie racją istnienia już wtedy, kiedy jest pisana, i to niezależnie od tego, jaka by to była książka. I to wszędzie. O każdej porze roku. Tę pasję odkryłam tutaj, w Yvelines, właśnie w tym domu. W końcu miałam dom, w którym mogłam się ukryć, żeby pisać książki. Chciałam żyć w tym domu. Po co? To się zaczęło ot tak, jak żart. Może by tak pisać, pomyślałam sobie, chyba potrafię. Kiedyś zaczynałam już książki, które porzuciłam. Nawet umknęły mi tytuły. Co do *Wicekonsula* – nie. Nigdy go nie porzuciłam, często o nim myślę. O *Lol V. Stein* już przestałam myśleć. Nikt nie może jej poznać, L. V. S., ani pan, ani ja. I nigdy nawet nie zrozumiałam do końca tego, co powiedział o niej Lancan. Lancan mnie oszołomił. A to jego zdanie: „Ona nie powinna wiedzieć, że pisze to, co pisze. Ponieważ by się pogubiła. I to by była katastrofa". Z tym zdaniem zaczęłam utożsamiać się w zasadniczy sposób, stało się ono dla mnie „prawem wypowiadania", o którym kobiety nie mają pojęcia.

Znaleźć się w dole, na dnie dołu, w samotności niemal całkowitej i odkryć, że jedynie pisanie przyniesie ocalenie. Nie mieć żadnego tematu książki, żadnego pomysłu na książkę, oznacza znaleźć się..., odnaleźć się z nią oko w oko. Pusty bezmiar. Książka, która ewentualnie powstanie. Oko w oko z nicością. Z pisaniem jakby żywym i nagim, czymś straszliwym, straszliwie trudnym do pokonania. Sądzę, że piszący nie ma pomysłu na książkę, że ma puste ręce, pustkę w głowie, i że przypomina sobie z całej przygody, jaką jest książka, tylko jałowy i nagi zapis, bez przyszłości, bez oddźwięku, daleki, z jego elementarnymi złotymi zasadami: ortografią, sensem.

Wicekonsul jest książką, która wszędzie została okrzyknięta „bezgłośną". Nie lubię tego określenia, ale kiedy do niej wracam, odnajduję to, coś w tym rodzaju. Co prawda wicekonsul krzyczał co dnia... ale z przyczyn, które dla mnie pozostaną tajemnicą. Tak jak ludzie codziennie się modlą, on krzyczał. Naprawdę, wrzeszczał głośno i nocami strzelał w Lahore po ogrodach Szalimar po to, żeby zabijać. Kogokolwiek, byle zabijać. Zabijał dla samego zabijania. Ponieważ „ktokolwiek" to były całe Indie w stanie rozpadu. Wrzeszczał u siebie, w Rezydencji, i kiedy był sam czarną nocą w opustoszałej Kalkucie. Wicekonsul był szalony, szalony z inteligencji. Zabija Lahore co noc.

Nie odnalazłam go nigdzie indziej, odnalazłam go tylko w aktorze, który go grał, w moim przyjacielu, genialnym Michaelu Lonsdale – nawet kiedy wciela się w inne role, dla mnie wciąż jest francuskim wicekonsulem w Lahore. Jest moim przyjacielem, bratem.

Wicekonsul to ktoś, w kogo wierzę. Krzyk wicekonsula, „jedyna polityka", także został zarejestrowany tutaj, w Neauphle-le-Château. To tutaj ją zawołał, ją, tutaj, tak. Ją, A.-M. S., Annę-Marię Guardi. To była Ona, Delphine Seyrig. I wszyscy płakali. To był płacz bez hamulców, nie znający swojego sensu, nieunikniony, prawdziwy płacz, jak płacz nieszczęsnego ludu.

Przychodzi w życiu taki moment, i myślę, że to jest straszne, przed którym nie można umknąć, a w którym wszystko zostaje podane w wątpliwość: małżeństwo, przyjaciele, zwłaszcza wspólni przyjaciele małżeńskiej pary. Dziecko nie. W dziecko nigdy się nie wątpi. I to zwątpienie narasta. Ono jest samotne, to jest zwątpienie samotności. Z niej się rodzi, z samotności. Teraz można już użyć tego słowa. Sądzę, że wielu ludzi nie mogłoby znieść tego, co tu opowiadam, ratowaliby się ucieczką. Być może dlatego właśnie nie każdy jest pisarzem. Tak. Na tym

polega różnica. Na tym polega prawda. Na niczym innym. Wątpić to pisać. Zatem zwątpienie znaczy także: pisarz. A wraz z pisarzem wszyscy piszą. Zawsze było o tym wiadomo.

Sądzę również, że bez tego pierwotnego zwątpienia, które pcha w stronę pisania, samotności nie ma. Nikt nigdy nie pisał na dwa głosy. Można było śpiewać na dwa głosy, także tworzyć we dwoje muzykę, grać w tenisa, ale pisać – nie. Nigdy. Od razu pisałam książki zwane politycznymi. Pierwsza to *Abahn Sabana David*, jedna z tych, które są mi najdroższe. Sądzę, że to nie ma znaczenia, czy książkę jest trudniej czy łatwiej prowadzić niż zwyczajne życie. Po prostu taka trudność istnieje. Książkę trudno jest poprowadzić, w stronę czytelnika, w takim kierunku, w jakim idzie jego lektura. Gdybym nie pisała, zostałabym nieuleczalną alkoholiczką. Człowiek faktycznie jest zgubiony, kiedy nie może więcej pisać... Wtedy się pije. Skoro jest zgubiony, a zatem nie ma już nic więcej do napisania, do stracenia – pisze. Póki książka istnieje i krzyczy, żąda, żeby ją ukończyć, człowiek pisze. Musi się do niej dostosować. Nie można na dobre porzucić książki w momencie, kiedy nie jest jeszcze do końca napisana – to znaczy: samodzielna i wolna od ciebie, który ją stworzyłeś. To jest tak samo nie do przyjęcia, jak zbrodnia. Nie wierzę tym, którzy mówią: „Podarłem rękopis, rzuciłem wszystko". Nie wierzę w to. Albo to, co było

napisane, nie istniało dla innych, albo to nie była książka. A zawsze wiadomo, kiedy to nie jest książka. Nie wiadomo natomiast, kiedy książką nigdy nie będzie, nie. Tego nigdy nie wiadomo.

Kiedy się kładłam spać, chowałam twarz. Bałam się siebie. Nie wiem dlaczego. Z tego powodu też piłam przed snem. Żeby o sobie zapomnieć. To przechodzi szybko do krwi i potem można spać. Samotność alkoholowa budzi lęk. Tak, to serce. Nagle zaczyna bić bardzo szybko.

Wszystko pisało, kiedy ja pisałam w domu. Pisanie było wszechobecne. Spotykając się z przyjaciółmi, czasami nie potrafiłam ich dobrze poznać. To trwało tak przez kilka lat, trudnych dla mnie, tak, może przez dziesięć lat, długo. A kiedy przyjaciele, nawet ci najbliżsi, mnie odwiedzali, było w tym też coś okropnego. Ci przyjaciele nic o mnie nie wiedzieli: chcieli dla mnie dobrze i przychodzili z życzliwości, myśląc, że dobrze robią. A najdziwniejsze, że było mi to obojętne.

Pisanie sprawia, że człowiek dziczeje. Odnajduje dzikość sprzed początku życia. I zawsze ją rozpoznaje, to jest dzikość lasów, ta najdawniejsza jak czas. Dzikość lęku przed wszystkim, wyraźna i nieodłączna od samego życia. Człowiek to istota zawzięta. Nie może pisać ktoś, kto nie jest silny ciałem.

Trzeba być silniejszym od samego siebie, żeby przystąpić do pisania, trzeba być silniejszym od tego, co się pisze. Tak to już dziwnie z tym jest. To nie tylko pisanie, tekst, to zew nocnych zwierząt, każdy krzyk, pana i mój, szczekanie psów. To masowe, doprowadzające do rozpaczy prostactwo społeczeństwa. Ból to także Chrystus i Mojżesz, i faraonowie, i wszyscy Żydzi, i wszystkie żydowskie dzieci, a również najbardziej wybujałe uczucie szczęścia. I tak jest zawsze, wierzę w to.

Ten dom w Neauphle-le-Château kupiłam za pieniądze z prawa do sfilmowania mojej książki *Tama nad Pacyfikiem*. Należał do mnie, był na mnie zapisany. Zakup poprzedził szaleństwo pisania. Pewnego rodzaju wulkan. Myślę, że ten dom dużo tu znaczy. Był mi pocieszeniem za wszystkie krzywdy dzieciństwa. Kupując go, bardzo szybko zrozumiałam, że zrobiłam coś ważnego dla siebie, i ostatecznego. Coś wyłącznie dla siebie i dla mojego dziecka – po raz pierwszy w życiu. I zajmowałam się nim. Sprzątałam. Naprawdę bardzo mnie „zaprzątnął". Potem, kiedy wciągnęły mnie książki, mniej się o niego troszczyłam.

Pisanie sięga bardzo daleko... Aż do zerwania z nim. Czasami to jest nie do wytrzymania. Nagle

wszystko tak nabiera sensu w odniesieniu do tekstu, że można oszaleć. Człowiek przestaje znać swoich znajomych, a ma wrażenie, że czekał na tych, których nie zna. Tak się działo pewnie dlatego, że byłam już, trochę bardziej niż inni, zmęczona życiem. To był stan bólu bez cierpienia. Nie próbowałam chronić się przed innymi ludźmi, zwłaszcza przed tymi, którzy mnie znali. To nie było smutne. Było rozpaczliwe. Zamotałam się w najtrudniejsze jak dotąd zadanie życia: pisać o życiu mojego kochanka z Lahore. Napisać *Wicekonsula*. Musiałam poświęcić tej książce trzy lata. Nie mogłam o niej mówić, bo najmniejsza ingerencja w książkę, najdrobniejsze zdanie „obiektywne" wszystko by z niej wymazały. Tekst inaczej przeze mnie napisany, poprawiony, zniszczyłby pisanie tej książki i to, co sama o niej wiedziałam. Wrażenie – zresztą prawdziwe – że to, co się napisało, napisało się samemu, czy jest to żadne, czy fantastyczne. Kiedy czytałam recenzje, przeważnie byłam wyczulona na opinię, że „to nie jest do niczego podobne". Co znaczy, że łączyło się w jedno z pierwotną samotnością autora.

Myślałam, że ten dom tutaj, w Neauphle, kupiłam również dla moich przyjaciół, po to żeby ich przyjmować, ale myliłam się. Kupiłam go dla siebie. Dopiero teraz to wiem i mówię o tym. Wieczorem bywało tu wielu przyjaciół, często przyjeżdżali Gal-

limardowie ze swoimi kobietami i z przyjaciółmi. Liczny był ten krąg Gallimardów, czasami i z piętnastu. Prosiłam, żeby przyjeżdżano trochę wcześniej, by przenieść stoły do jednego pokoju, żebyśmy się pomieścili wszyscy razem. Te wieczory były dla wszystkich bardzo szczęśliwe. Najszczęśliwsze. Zawsze byli tu Robert Antelme i Dionys Mascolo, i ich przyjaciele. A także moi kochankowie, zwłaszcza Gerard Jarlot, rasowy uwodziciel, który też zaprzyjaźnił się z Gallimardami.

Kiedy dom był pełen ludzi, byłam zarazem mniej samotna i bardziej opuszczona. Żeby ogarnąć tę samotność, trzeba ją przeżyć w nocy. Wyobrazić sobie Duras nocą we własnym łóżku, śpiącą samotnie w domu o powierzchni czterystu metrów kwadratowych. Kiedy szłam w jego drugi koniec, tam, w stronę „domeczku", bałam się przestrzeni jak pułapki. Mogę powiedzieć, że czułam ten strach każdego wieczoru. Jednak nigdy nie kiwnęłam palcem, żeby tu ktoś zamieszkał. Zdarzało mi się wychodzić późnym wieczorem. To były długie, przyjemne spacery z ludźmi ze wsi, z przyjaciółmi, z mieszkańcami Neauphle. Piliśmy. Dużo rozmawialiśmy. Chodziliśmy do czegoś w rodzaju kafejki, ogromnej jak wielohektarowe miasteczko. O trzeciej nad ranem się tam kłębiło. Przypominam sobie nazwę: Parly II. W tych miejscach człowiek także czuł się zagubiony. Kelnerzy czuwali jak gliniarze nad ogromnym obszarem naszej samotności.

Ten dom tutaj to nie jest wiejski dom. To nie tak. Najpierw to była ferma, ze stawem, a potem dacza jednego notariusza, z wielkiego paryskiego Notariatu.

Kiedy otwarto przede mną drzwi, ujrzałam park. To trwało przez kilka sekund. Od progu powiedziałam, że tak, że kupuję ten dom. Kupiłam go z marszu. I tak też zapłaciłam, gotówką.

Teraz można w nim mieszkać przez cały rok. Ofiarowałam go też synowi. Należy do nas obojga. Dzisiaj myślę, że on jest do niego tak samo przywiązany jak do mnie. Zachował w tym domu wszystko, co moje. Wciąż mogę być w nim sama. Mam swój stolik, swoje łóżko, telefon, obrazy i książki. I scenariusze moich filmów. Kiedy jadę do tego domu, syn jest bardzo szczęśliwy. Jego szczęście jest teraz szczęściem mojego życia.

Pisarz to ciekawe zjawisko. To sprzeczność, albo i nonsens. Pisać znaczy także nie mówić. Zamilk-

nąć. Krzyczeć bezgłośnie. Często można porządnie wypocząć, dużo się słucha. Pisarz nie mówi dużo, bo nie można rozmawiać z kimś o książce, którą się napisało, czy tym bardziej o książce, którą się teraz pisze. To niemożliwe. Całkiem odwrotnie niż w przypadku kina, teatru i innych widowisk. Odwrotnie niż z jakąkolwiek lekturą. To jest najtrudniejsze ze wszystkiego. Najgorsze. Bo książka to nieznane, to noc, to zamknięcie, właśnie tak. To książka posuwa się naprzód, rozrasta, zmierza w kierunkach, o których myśleliśmy, że już je poznaliśmy, zmierza ku własnemu przeznaczeniu i ku przeznaczeniu swojego autora, który przestaje istnieć z chwilą jej wydania: rozstanie z nią, z książką wymarzoną, wyśnioną, jak z najmłodszym dzieckiem, zawsze najbardziej ukochanym ze wszystkich.

Książka otwarta to także noc.

Nie wiem dlaczego, ale te ostatnie słowa pobudzają mnie do płaczu.

Pisać mimo wszystko, wbrew rozpaczy. Nie: z rozpaczą. Nie wiem, jaka to rozpacz. Pisać na uboczu tego, co poprzedza tekst, to go zmarnować. A jednak trzeba się z tym pogodzić: zmarnować coś,

co było porażką to zawrócić w stronę innej książki, w stronę innej możliwości tej samej książki.

To zatracenie siebie w tym domu w najmniejszym stopniu nie zależy od woli. Nie twierdziłam: „Jestem tu zamknięta przez okrągły rok". To nieprawda, mówiąc tak, skłamałabym. Chodziłam po zakupy, do kawiarni. Ale równocześnie byłam i tutaj. Miasteczko i dom to to samo. I stół nad stawem. I czarny atrament. I biały papier, to to samo. A z książkami, nie, nagle, nie, z nimi to nigdy nie to samo.

Przede mną nikt w tym domu nie pisał. Pytałam sołtysa, sąsiadów, sklepikarzy. Nie. Nigdy. Często dzwoniłam do Wersalu*, próbując dowiedzieć się nazwisk ludzi, którzy mieszkali w tym domu. W szeregu nazwisk mieszkańców, ich imion i profesji, nie było ani jednego pisarza. A przecież wszystkie te nazwiska mogłyby należeć do pisarzy. Wszystkie. Ale nie. Były tu fermy tutejszych rodzin. A w ziemi odkryłam poniemieckie odpadki. Dom rzeczywiście zajmowali oficerowie niemieccy. Ich

* Wersal stanowi ośrodek administracyjny departamentu Ivelines, w którym znajduje się Neauphle-le-Château (ten i wszystkie następne przypisy pochodzą od tłumacza).

śmietniki to były dziury, dziury w ziemi. Leżało w nich pełno muszli po ostrygach, pustych puszek po drogiej żywności, zwłaszcza foie gras* czy kawiorze. I dużo potłuczonych naczyń. Wyrzuciliśmy wszystko. Z wyjątkiem odłamków naczyń, na pewno z Sèvres, zdobienia pozostały nietknięte. A niebieski był jak niewinny kolor oczu niektórych naszych dzieci.

Kiedy książka jest ukończona – mam na myśli tę, którą się pisało – czytając ją, nie można już stwierdzić, że to ta sama książka, którą się napisało, ani określić, co zostało w niej przedstawione, ani jaka to była rozpacz, czy jakie szczęście, że się odnalazła albo że upadła cała istota człowieka. Ponieważ na końcu, w książce, niczego takiego nie widać. Dzieło jest w pewnym sensie jednorodne, dojrzałe. W takiej książce, skończonej i rozpowszechnionej, nic nowego się już nie zdarza. Ona powraca do niepojętego stanu niewinności, jaki towarzyszył jej narodzinom.

Obcować samotnie z książką, która jeszcze nie została napisana, to wciąż być pogrążonym w pierwotnym śnie ludzkości. Właśnie tak. To także obcować samotnie z pisaniem, które jeszcze leży odłogiem. To próbować nie umrzeć od tego. To być samą w schronie w czasie wojny. Tyle że bez modlitwy, bez Boga, bez żadnej myśli poza tą szaloną żądzą wymordowania Narodu niemieckiego aż po ostatniego nazistę.

* Specjalność kuchni francuskiej. Rodzaj pasztetu z przetłuszczonej gęsiej wątroby.

Pisanie zawsze pozbawione było wszelkich odniesień albo też jest... Wciąż jest jak pierwszego dnia. Dzikie. Inne. Z wyjątkiem ludzi; o osobach, które krążą w książce, nigdy nie zapomina się podczas pracy i nigdy autor ich nie żałuje. Nie, co do tego jestem pewna, nie, pisanie książki, to, co napisane. Zatem zawsze to można porzucić. Samotność pisarza mieści w sobie samobójstwo. Człowiek jest sam nawet w swojej własnej samotności. Zawsze niepojętej. Zawsze niebezpiecznej. Tak. Cena, którą trzeba zapłacić za to, że ośmieliło się wyjść i krzyczeć.

Jeśli chodzi o dom, pisałam na pierwszym piętrze, nie na dole. Potem odwrotnie, pisałam w dużym środkowym pokoju na parterze, może dlatego, żeby nie być tak bardzo samotną, już nie pamiętam, a poza tym, żeby widzieć park.

Oto, co mieści w sobie książka: samotność odnosi się w niej do całego świata. Jest wszędzie. Zagarnęła wszystko. Naprawdę wierzę, że zagarnęła. Jak każdy. Bez samotności niczego się nie da zrobić. Na nic nie można patrzeć. To jest sposób myślenia, rozumo-

wania, ale wyłącznie myślą codzienną. To się zawiera także w funkcji pisania i może przede wszystkim powtarzania sobie, że nie trzeba codziennie pozbawiać się życia, skoro codziennie można to zrobić. To jest właśnie pisanie książki, a nie samotność. Mówię o samotności, ale nie byłam samotna, bo miałam tę pracę, którą musiałam doprowadzić do ostatniej kropki, tę pracę galernika: napisać *Wicekonsula Francji w Lahore*. I ta książka powstała i została przetłumaczona na języki całego świata, i się przyjęła. W tej książce wicekonsul strzela do trądu, do trędowatych, do nędzarzy, do psów, a potem strzela i do Białych, do białych zarządców. Zabijał wszystko z wyjątkiem jej, tej, która pewnego ranka utopiła się w Delcie, Loli Valerie Stein, Królowej mojego dzieciństwa i S. Thali, żony gubernatora w Vinh Long*.

To była pierwsza książka mojego życia. To się działo w Lahore, a także tam, w Kambodży, na plantacjach, wszędzie. Na samym początku *Wicekonsula* pojawia się piętnastoletnie dziecko w ciąży, mała Annamitka wypędzona przez matkę z domu, która błąka się wśród masywu błękitnego marmuru w Pursat. Nie pamiętam już, co jest dalej. Pamiętam, że miałam duże trudności z odnalezieniem tego miejsca, tych gór w Pursat, gdzie nigdy nie dotarłam. Mapa leżała tu na biurku, a ja śledziłam drogi żebraków i dzieci z połamanymi nogami, ociemniałych, porzuconych przez matki, żywiących się odpadkami. Bardzo trudno było napisać tę książkę. Nie istniała żadna płaszczyzna, na której można by oddać rozmiary nieszczęścia, ponieważ nie zostało już nic z wydarzeń, które mogłyby je wywołać. Został już tylko sam Głód i Ból.

* Miasto w południowym Wietnamie, w delcie Mekongu; ośrodek administracyjny prowincji Cuu Long.

Dzikie z natury wypadki nie wiązały się ze sobą, a zatem niczego nie można było zaplanować. Nigdy nie było tego w moim życiu. Nigdy. Ani w życiu, ani w książkach – ani razu.

Pisałam każdego ranka. Ale bez żadnego planu zajęć. Nigdy. Z wyjątkiem kuchni. Wiedziałam, kiedy trzeba przyjść, żeby się zagotowało albo nie przypaliło. Wiedziałam to też, jeśli chodzi o książki. Przysięgam. Wszystko przysięgam. Nigdy nie skłamałam w książce. Ani nawet w życiu. Tylko mężczyznom. Nigdy. A to dlatego, że matka nastraszyła mnie, że kłamstwo zabija kłamiące dzieci.

Myślę, że ogólnie rzecz biorąc, mam książkom do zarzucenia to właśnie, że nie są wolne. Postrzega się je przez pryzmat pisania: są skonstruowane, zorga-

nizowane, poddane kontroli, że się tak wyrażę. Przymus korygowania, który pisarz bardzo często odczuwa względem siebie. I wtedy staje się własnym gliną. Rozumiem przez to poszukiwanie właściwej formy, czyli formy najpowszechniejszej, najbardziej przejrzystej, bezpiecznej. Nadal istnieją martwe generacje, które tworzą książki wstydliwe. Nawet młodzi: książki *pełne uroku*, bez żadnego przedłużenia, bez nocy. Pozbawione ciszy. Inaczej mówiąc: bez prawdziwego autora. Książki powszednie, dla rozrywki, dobre w podróży. Ale nie takie, które zapuszczają korzenie i wyrażają ciężką żałobę każdego życia, wspólny punkt wszelkiej myśli.

Ja nie wiem, czym jest książka. Nikt tego nie wie. Ale człowiek wie, kiedy ma z nią do czynienia. I wie, kiedy ma do czynienia z niczym – jak to, że jest, że jeszcze nie umarł.

Każda książka jak i każdy pisarz mają w sobie trudne miejsce, którego nie sposób ominąć. On się musi zdecydować zostawić ten błąd w książce, żeby pozostała prawdziwa, nieprzekłamana. Jeszcze nie wiem, czym samotność staje się później. Jeszcze nie mogę o tym mówić. Ale mam wrażenie, że ta samotność staje się czymś zwyczajnym, że z czasem – pospolicieje, i że to jest dobre.

Kiedy po raz pierwszy powiedziałam komuś o tej miłości między Anne-Marie Stretter, francuską ambasadorową w Lahore, i wicekonsulem, miałam uczucie, że zniszczyłam książkę, że wytrąciłam ją ze stanu oczekiwania. Ale nie, nie tylko nic się tu nie zmieniło, ale wręcz przeciwnie. Autorzy popełniają też i takie błędy – które w rzeczywistości okazują się szczęśliwe. Te błędy udane, wspaniałe, są bardzo emocjonujące, a i inne bywają cudowne – te łatwe, jakby należące do dzieciństwa.

Widzę często, że książki innych są „czyste", ale często tak, jakby wyrastały z klasycyzmu bez żadnego ryzyka. Słowo wyzute z niepewności byłoby zgubne. Nie wiem.

Wielkie lektury mojego życia, te wyłącznie moje, to książki napisane przez mężczyzn. To Michelet. Michelet i jeszcze raz Michelet, do łez. Pisma polityczne też, ale już mniej. To Saint-Just, Stendhal, ale, co dziwne, nie Balzac. Księga ksiąg to Stary Testament.

Nie wiem, jak wydobyłam się z tego, co można by nazwać załamaniem, jak by się powiedziało o załamaniu nerwowym albo o nagłej ociężałości, osłabieniu, jak przy udawanym śnie. Samotność to też było to. Rodzaj zapisu. I czytać znaczyło pisać.

Niektórych pisarzy ogarnia przerażenie. Boją się pisać. W moim przypadku odegrało być może pewną rolę to, że nigdy nie czułam lęku przed takim strachem. Stworzyłam książki niezrozumiałe i były czytane. Jedną z nich, do której nie wracałam od trzydziestu lat, przeczytałam ostatnio i uważam, że jest wspaniała. Nazywa się: *Spokojne życie*. Zapomniałam z niej wszystko, z wyjątkiem ostatniego zdania: „Nikt oprócz mnie nie widział, jak mężczyzna tonie". To książka napisana jednym ciągiem, utrzymana w zwyczajnej i bardzo ponurej logice zbrodni. W tej książce można pójść dalej niż ona sama sięga, czy przedstawiona w niej zbrodnia. Idzie się nie wiadomo dokąd, pewnie ku uwielbieniu siostry, ku miłosnej historii siostry i brata, raz jeszcze, tak, w której przetrwa, oślepiająca, lekkomyślna, pokarana miłość.

Jesteśmy chorzy nadzieją, my z 68., nadzieją, którą pokłada się w roli proletariatu. I nic, żadne prawo, nikt ani nic nie wyleczy nas z tej nadziei. Chciałabym ponownie zapisać się do P. C.* Ale równocześnie wiem, że to nie byłoby dobre. I chciałabym także przemówić do prawicy i zelżyć ją z całą

* Partie Communiste – Partii Komunistycznej.

wściekłością. Obelga jest równie silna jak pisanie. To jest pisanie, tyle że adresowane. Obrażałam ludzi w swoich artykułach – daje to takie samo zaspokojenie, jak napisanie pięknego wiersza. Człowiek lewicy i człowiek prawicy są dla mnie zasadniczo różni. Niektórzy by powiedzieli, że to te same osoby. Po stronie lewicy był Bérégovoy, którego nikt nie zastąpi. Bérégovoyem numer jeden jest Mitterrand, także do nikogo niepodobny.

A ja jestem podobna do wszystkich. Sądzę, że nigdy nikt nie obejrzał się za mną na ulicy. Jestem chodzącą przeciętnością. Triumfem przeciętności. Jak ta starsza pani z książki *Ciężarówka*.

Żyjąc w taki sposób, tak jak mówię, że żyłam, w tej samotności, człowiek naraża się z czasem na pewne niebezpieczeństwa. To nieuniknione. Kiedy tylko istota ludzka zostaje sama, skłania się ku szaleństwu. Tak właśnie uważam: uważam, że ktoś zdany na samego siebie już jest dotknięty szaleństwem, gdyż nic nie powstrzyma w nim erupcji obłędu.

Człowiek nigdy nie jest sam. Nigdy nie jest sam fizycznie. Nigdzie. Zawsze znajduje się w jakimś otoczeniu. Słyszy hałasy z kuchni, odgłosy telewizora albo radia z sąsiednich mieszkań i w całym bu-

dynku. Zwłaszcza kiedy nigdy nie domagał się ciszy, tak jak ja to zawsze robiłam.

Chciałabym opowiedzieć historię, którą pewnego razu po raz pierwszy opowiedziałam Michelle Porte, która zrobiła o mnie film. A więc znajdowałam się wtedy w pomieszczeniu, które nazywano „spiżarką" w „domeczku" łączącym się z „dużym" domem. Byłam sama. Czekałam na Michelle Porte w tej spiżarce. Często tak zostaję sama w spokojnych i pustych miejscach. Na długo. I właśnie w tej ciszy, tamtego dnia, nagle zobaczyłam i usłyszałam u podnóża ściany, bardzo blisko mnie, ostatnie minuty życia najzwyklejszej muchy.

Usiadłam na ziemi, żeby jej nie przestraszyć. Przestałam się poruszać.

Byłam z nią sama w całym rozległym domu. Nigdy dotąd nie myślałam o muchach, chyba że je przeklinałam. Tak jak pan. Zostałam podobnie jak pan wychowana w przeświadczeniu okropności tej światowej plagi, która przynosi dżumę i cholerę.

Zbliżyłam się, żeby zobaczyć, jak umiera.

Usiłowała oderwać się od ściany, gdzie mogłaby zostać uwięziona w piasku i cemencie, odkruszającym się pod wpływem wilgoci z parku. Patrzyłam, jak taka mucha umiera. Długo to trwało. Walczyła ze

śmiercią. To trwało z dziesięć – piętnaście minut i potem ustało. Widać, uszło z niej życie. Zostałam, żeby jeszcze popatrzeć. Mucha ciągle była na ścianie, tak jak ją ujrzałam, jakby przyklejona.

Myliłam się: wciąż jeszcze żyła.

Zostałam jeszcze dłużej, patrząc na nią i licząc na to, że powróci w nią nadzieja, życie.

Moja obecność jeszcze dodawała tej śmierci okrucieństwa. Wiedziałam o tym i zostałam. Żeby zobaczyć. Zobaczyć, jak śmierć stopniowo zawładnie muchą. A także spróbować dojrzeć, skąd się ta śmierć wyłania. Z zewnątrz czy z grubości ściany, albo z podłogi. Z jakiej nocy przychodzi, z ziemi czy z nieba, z pobliskich lasów czy z niemożliwej jeszcze do nazwania nicości, może bardzo niedalekiej, a może ze mnie, która usiłowałam odnaleźć drogę muchy przechodzącej w wieczność.

Nie pamiętam, jak to się skończyło. Pewnie mucha, będąc u kresu sił, spadła. Łapki odczepiły się od ściany. I odpadła od ściany. Nie pamiętam już nic, oprócz tego, że wyszłam stamtąd. Powiedziałam sobie: „Zwariowałaś". I odeszłam stamtąd.

Kiedy Michelle Porte przyjechała, pokazałam jej to miejsce i powiedziałam, że mucha zdechła tam

o trzeciej dwadzieścia. Michelle Porte bardzo się śmiała. Śmiała się jak szalona. Miała rację. Uśmiechnęłam się do niej, żeby z tym skończyć. Ale nie: jeszcze się śmiała. Ale, kiedy to tak panu opowiadam, to Bogiem a prawdą, moją prawdą, to, co przed chwilą powiedziałam, co się zdarzyło między mną i muchą, to jeszcze nie nadaje się do śmiechu.

Śmierć muchy to przecież śmierć. To śmierć w drodze do pewnego końca świata, która rozpościera przestrzeń ostatniego snu. Człowiek widzi, jak umiera pies, widzi, jak umiera koń, i coś mówi, na przykład, biedaczysko... Ale kiedy umiera mucha, człowiek nic nie mówi, nie wydaje dyspozycji, nic.

Teraz jest to napisane. Może nam grozić taki niezwykle ponury – nie lubię tego określenia – poślizg. To nic poważnego, ale jest to zdarzenie zamknięte w sobie, absolutne, o ogromnym znaczeniu: znaczeniu nieuchwytnym i bez granic. Pomyślałam o Żydach. Poczułam do Niemiec taką samą nienawiść, jak w pierwszych dniach wojny, całą sobą, ze wszystkich sił. Tak jak w czasie wojny, za każdym razem, gdy spotkałam Niemca na ulicy, myślałam o mordzie, który bym na nim popełniła, który bym sama wymyśliła, udoskonaliła, o tym przeogromnym szczęściu wobec niemieckiego ciała, które stało się takie przeze mnie, martwe.

Poza tym dobrze jest, jeśli tekst doprowadza do tego, do tej konającej muchy. Mam na myśli: opisać trwogę przed pisaniem. Dokładna, zapisana godzina śmierci już czyniła ją niedostępną. Nadawało jej to pewną ogólną ważność, powiedzmy, konkretne miejsce na ogólnej mapie życia na ziemi.

Przez tę dokładność w podaniu godziny, o której zmarła, mucha miała tajemny pogrzeb. Dwadzieścia lat po jej śmierci, i tu mamy tego dowód, jeszcze się o niej mówi.

Nigdy nie opowiadałam o śmierci tej muchy, o tym, ile to trwało, o powolności, o jej okrutnym strachu, o jej prawdzie.

Precyzyjnie określona godzina śmierci nawiązuje do współegzystencji z człowiekiem, ze skolonizowanymi ludami, z fikcyjnym tłumem nieznajomych ze świata, ludzi samotnych samotnością powszechną. Życie jest wszędzie. Od bakterii po słonia. Od ziemi po boskie albo wymarłe niebo.

Niczego nie przygotowałam w związku ze śmiercią muchy. Białe, gładkie ściany – całun dla niej był już gotowy – sprawiły, że jej śmierć stała się zdarzeniem publicznym, wpisanym w porządek rzeczy i nieuniknionym. Ta mucha była wyraźnie u kresu życia. Nie mogłam powstrzymać się od patrzenia, jak umiera. Już się nie ruszała. Było i to jeszcze,

świadomość, że nie sposób opowiedzieć, że ta mucha była.

Od tamtej pory minęło dwadzieścia lat. Nigdy nie opowiadałam tego zdarzenia, tak jak przed chwilą, nawet Michelle Porte. Poza tym wiedziałam – to było widać – że mucha już *wie*, że ten przeszywający ją lód to śmierć. Właśnie to było najbardziej przerażające. Najbardziej nieoczekiwane. Ona wiedziała. I godziła się na to.

Dom nie istnieje tak sam z siebie. Potrzeba wokół niego czasu, ludzi, historii, „przełomów", spraw takich, jak małżeństwo czy jak śmierć tamtej muchy, śmierć, zwyczajna śmierć – zarazem i jedności, i mnogości, śmierć światowa, proletariacka. Śmierć poprzez wojny, te góry wojen na Ziemi.

Ten dzień. Ten konkretny dzień spotkania z przyjaciółką Michelle Porte; tego dnia, wszystko jedno o której godzinie, widziana tylko przeze mnie, umarła mucha.

W chwili, gdy na nią patrzyłam, zrobiła się nagle trzecia dwadzieścia po południu i powstał pył: brzęczenie pocieranych o siebie skrzydełek ustało.

Mucha była martwa.

Ta królowa. Czarnoniebieska.

I to właśnie ona, ta właśnie, którą widziałam, była martwa. Wszystko powoli. Walczyła aż po ostatnie drgnięcie. A potem się poddała. To trwało zapewne pięć do ośmiu minut. Długo. Chwila wszechogarniającej trwogi. I odejście śmierci ku innemu niebu, ku innym planetom, innym miejscom.

Chciałam uciec, a równocześnie czułam, że muszę patrzeć w kierunku tego brzęczenia przy ziemi, żeby jednak usłyszeć, jeden raz, nikły odgłos, jaki płonąc, wydaje zielone drzewo śmierci zwyczajnej muchy.

Tak. No właśnie, ta śmierć muchy stała się owym przesunięciem w literaturze. Człowiek pisze, nie wiedząc o tym. Człowiek pisze, patrząc, jak umiera mucha. Ma do tego prawo.

Michelle Porte śmiała się jak szalona, kiedy powiedziałam, o której godzinie umarła mucha. I dopiero teraz myślę, że to być może nie ja opowiedziałam tę śmierć w taki sposób, do śmiechu. Wtedy nie miałam środków, by to wyrazić, ponieważ na tę śmierć patrzyłam, na tę agonię czarnoniebieskiej muchy.

Samotności zawsze towarzyszy obłęd. Wiem o tym. Człowiek nie widzi obłędu. Czasami tylko go przeczuwa. Nie sądzę, żeby mogło z tym być inaczej. Kiedy wyciąga się z siebie wszystko, całą książkę, siłą rzeczy zapada się w szczególny stan pewnego rodzaju samotności, której nie można z nikim dzielić. Niczym się nie można podzielić. Trzeba samemu przeczytać książkę, którą się napisało, będąc w niej odciętym od świata jak za klasztornym murem. To ma z całą pewnością wymiar religijny, ale nie odczuwa się tego od razu, można o tym pomyśleć po fakcie (jak ja pomyślałam w tej chwili), na przykład ze względu na coś, co byłoby życiem, albo co położyłoby kres życiu książki, albo z uwagi na mowę, krzyk, czy głuche, milcząco straszne zawodzenia wszystkich ludów świata.

Wokół nas wszystko pisze, to właśnie trzeba nauczyć się dostrzegać, wszystko pisze, mucha, mucha pisze, na ścianach, dużo napisała w świetle wielkiej sali, odbijającym się w stawie. Pisanie muchy mogłoby zająć całą stronę. Wtedy stałaby się tekstem. Skoro może się nim stać – już jest tekstem. Być może któregoś dnia, za sto albo i więcej lat, ktoś ten tekst przeczyta i w ten sposób jeszcze jeden tekst będzie odczytany i przetłumaczony. I ogrom nieczytelnego poematu rozwinie się na niebie.

Ale mimo wszystko gdzieś w świecie tworzy się książki. Wszyscy je tworzą. Tak myślę. Jestem pewna, że tak jest. Że tak jest, na przykład, w przypadku Blanchota. Krąży wokół niego obłęd. Obłęd też jest śmiercią. Nie dla Bataille'a. Dlaczego Bataille był bezpieczny od wolnej, szalonej myśli? Nie umiałabym powiedzieć.

O tej historii muchy chciałabym powiedzieć jeszcze trochę więcej.

Wciąż ją widzę, tę muchę, jak umiera na białej ścianie. Najpierw w promieniach słońca, potem w świetle pociemniałym i odbitym od wyłożonej płytkami podłogi.

Można też nie pisać, zapomnieć o musze. Tylko na nią patrzeć. Widzieć, jak walczyła, kiedy nadeszła jej kolej, w sposób straszny i zarachowany w nieznanym i pustym niebie.

Ot, i wszystko.

Będę mówić o niczym.

O niczym.

Wszystkie domy w Neauphle są zamieszkałe: zimą tak plus minus, jasne, ale w każdym razie zamieszkałe. Nie są przeznaczone tylko na lato, jak często bywa. Istnieją przez cały rok. Otwarte, zamieszkałe.

W tym domu w Neauphle-le-Château liczą się okna wychodzące na park i drogę na Paryż przed domem. Tę, którą przechodzą kobiety z moich książek.

Dużo spałam w tym pokoju, w którym teraz jest salon. Przez długi czas myślałam, że sypialnia to coś umownego. Dopiero kiedy w niej popracowałam, stała się niezbędna jak inne pokoje, nawet te puste na piętrach. Lustro w salonie należało do poprzednich właścicieli. Zostawili mi je. Pianino kupiłam zaraz po domu, cena prawie ta sama.

Wzdłuż domu, jeszcze przed stu laty, była ścieżka dla bydła, które przychodziło poić się w stawie. Staw leży teraz w moim parku. A bydła już nie ma. Tym samym koniec ze świeżym mlekiem rano w miasteczku. Od stu lat.

Dopiero teraz, kiedy kręci się tutaj film, dom wygląda jak inny, taki, jakim był pewnego razu

dla innych ludzi przed nami. Z tą swoją samotnością, wdziękiem, wydaje się naraz całkiem innym domem, który mógłby należeć do jeszcze innych ludzi. Zupełnie jakby coś tak strasznego, jak utrata własności tego domu, mogło się uzewnętrznić.

Miejsce, w którym trzyma się owoce, warzywa, solone masło, żeby były w chłodzie wewnątrz... Było takie pomieszczenie... ciemne i chłodne... myślę, że to chodzi o *spiżarkę*, tak, właśnie. To dobre słowo. Złożyć to wszystko w bezpiecznym miejscu, jako zapasy na wojnę.

Pierwsze rośliny, które tutaj były, to te we wnęce okiennej przy wejściu. To jest czerwone geranium z południa Hiszpanii. Pachnące jak Wschód.

W tym domu kwiatów nigdy się nie wyrzuca. To taki zwyczaj, nie wymóg. Nigdy, nawet zwiędnięte się zostawia. Jedne płatki róży są tu już od czterdziestu lat, w słoju. Wciąż są bardzo różowe. Suche i Różowe.

Przez cały rok jest tu kłopot ze zmierzchem. Tak latem, jak i zimą.

Kiedy latem przychodzi pierwszy zmierzch, nie można wewnątrz zapalać światła.

A potem nastaje ten prawdziwy, zmierzch zimowy. Czasami zamykamy okiennice, żeby go nie widzieć. Są też krzesła, ustawia się je na lato. I taras. Przez całe lato przesiadujemy na tarasie. Rozmawiamy z przyjaciółmi, którzy tu przyjeżdżają. Często właśnie po to, żeby porozmawiać.

To jest zawsze smutne, ale nie tragiczne, zima, życie, niesprawiedliwość. A któregoś ranka – wszechogarniające przerażenie.

Po prostu, smutne. Człowiek wcale z czasem się nie przyzwyczaja.

Najcięższy jest w tym domu strach o drzewa. Wciąż i za każdym razem od nowa. Za każdym razem jak jest burza, a często się to tutaj zdarza, jesteśmy z nimi, boimy się o te drzewa. Teraz nagle zapomniałam, jak się nazywają.

Zmierzch to taka pora, kiedy wszyscy wokół pisarza przestają pracować.

W mieście, na wsi, wszędzie, pisarze to ludzie samotni. Wszędzie i zawsze tacy byli.

Na całym świecie koniec światła oznacza koniec pracy.

A ja zawsze miałam wrażenie, że ta pora, jeśli o mnie chodzi, nie jest porą końca pracy, ale porą jej początku. W naturze ma miejsce pewnego rodzaju odwrócenie wartości, jeśli chodzi o pisarza.

Inna praca w przypadku pisarzy czasami przynosi wstyd, a najczęściej wywołuje żal z rodzaju politycznych, ten najsilniejszy ze wszystkich. Wiem, że człowiek pozostaje wtedy niepocieszony. I że staje się groźny jak psy ich policji.

Tutaj człowiek czuje się odcięty od pracy rąk. Ale nic się nie da poradzić na to uczucie, trzeba do niego przywyknąć, przyzwyczaić się. To, co zawsze będzie najważniejsze, i to przyprawia nas o płacz, to piekło i niesprawiedliwość świata pracy. Piekło fabryk, nadużycia z powodu pogardliwego stosunku i niesprawiedliwości przedsiębiorców, ich okrucieństwa, okrucieństwa ustroju kapitalistycznego, piekło nieszczęścia, które się z tego bierze, z prawa bogaczy do rozporządzania proletariatem i czynienia zeń zasadniczej racji swojego niepowodzenia, nigdy zaś sukcesu. Tajemnicą jest to, dlaczego proletariat się na to godzi. Ale jest nas wielu, a liczba ta z dnia na

dzień rośnie, którzy uważają, że to nie może już tak długo trwać. Że do czegoś doszliśmy wszyscy, być może nauczyliśmy się na nowo czytać ich haniebne teksty. Tak, właśnie o to chodzi.

Nie nalegam, odchodzę. Ale mówię o tym, czego wszyscy doznają, nawet jeśli nie potrafią tego przeżyć.

Często wraz z końcem pracy nachodzi cię wspomnienie największej niesprawiedliwości. Mówię o codzienności życia. Rano nie – dopiero wieczorem dociera to do domów, do nas. I jeśli człowiek nie jest taki, nie jest niczym w ogóle. Jest: niczym. Ludzie wiedzą o tym wszędzie, w najdalszej wsi.

Oswobodzenie przychodzi wraz z początkiem nocy. Kiedy ustaje praca na zewnątrz. Pozostaje ten luksus, polegający na tym, że my możemy nocą pisać. Możemy pisać o każdej porze. Nie obchodzą nas rozkazy, rozkłady godzin, szefowie, broń, mandaty, obelgi, gliny, szefowie i jeszcze raz szefowie. Ani kwoki wysiadujące faszystowskie reżimy jutra.

Walka wicekonsula jest równocześnie naiwna i rewolucyjna.

To jest właśnie największa niesprawiedliwość czasów, wszystkich czasów: i jeśli choć raz w życiu się nad nią nie zapłacze, nie zapłacze się nad niczym. A nigdy nie płakać to nie żyć.

Płakać – to się także powinno zdarzyć.

Jeśli nie ma po co płakać, myślę, że i tak trzeba płakać. Bo rozpacz jest czymś namacalnym. Czymś, co zostaje. Wspomnienie rozpaczy to coś, co zostaje. A czasami zabija.

Pisać.

Nie mogę.

Nikt nie może.

Trzeba to powiedzieć: człowiek nie może.

I pisze.

To odzywa się w nas nieznane: pisać, to ta sfera jest dotknięta. Ta albo żadna.

Można mówić o byciu chorym na pisanie.

To nie jest proste, to co próbuję tu powiedzieć, ale ufam, że można się w tym odnaleźć, koledzy ze wszystkich krajów.

Istnieje szaleństwo pisania, samo w sobie, wściekłe szaleństwo pisania, ale to nie dlatego pogrążeni jesteśmy w obłędzie. Przeciwnie.

Pisać to dotykać nieznanego. Zanim człowiek przystąpi do pisania, zupełnie nie wie, co napisze. W pełni świadomości.

Nieznane mojej istoty, głowy, ciała. Pisać to nawet nie refleksja, to pewnego rodzaju zdolność, którą się ma na uboczu swojej osoby, równolegle do niej, jakby ktoś inny, kto pojawia się i postępuje naprzód, niewidoczny, obdarzony myślą, gniewem, i komu czasami, z własnej winy, zagraża od tego niebezpieczeństwo utraty życia.

Gdyby było choć trochę wiadomo o tym, co napiszemy, zanim to się stanie, zanim zaczniemy pisać, nigdy byśmy nie pisali. Nie byłoby po co.

Pisać to próbować dowiedzieć się, co by się napisało, gdyby się pisało – dopiero potem to wiemy – przedtem to najniebezpieczniejsze pytanie, jakie można sobie zadać. Ale i najpopularniejsze.

Napisane pojawia się jak wiatr, jest nagie, jest z atramentu, jest tym czymś napisanym, i mija jak nic innego w życiu nie mija, nic więcej, z wyjątkiem jego samego, życia.